



DODATEK LITERACKI

DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

W pruskiej szkole.

(W rocznicę Wrześni).

W tych czasach Wielkopolska obchodziła dwudziestopięciolecie smutnego w dziejach naszej martyrologii wypadku, który określamy jednym słowem: Września.

Pragnąc uczcić w tę rocznicę bohaterstwo małych męczenników za wiarę i język ojczysty, zamieszczamy poniżej fragment „W pruskiej szkole“ pióra niezapomnianego, wielkiego pisarza naszego Wł. Reymonta.

Wybiła jakaś godzina, nauczyciel skończył lekcję i, oglądając machinalnie książki przeglądając twarze dzieci zimnem, badającym spojrzeniem.

Uczyniło się trwożne i głębokie wyczekiwanie. Dzieci wyczekiwały bez ruchu, jak zahypnotyzowane, patrząc w niego lekliwie wytrzeszczonymi oczyma.

Na dworze padał deszcz i sływał po szybach perlistemi, nieskończonymi strugami; jakieś bezlistne drzewa dygotały z zimna przed oknami, a naprzeciw szkoły, w błocie i na szarudze, stała gromadka kobiet.

— Still! — huknął naraz nauczyciel, prostując się groźnie.

Był ogromny, ruda broda niby płomieniem obrastała mu tłuste, piegowate policzki, okrągłe, jastrzębie oczy w czerwonych obwódkach zamigotały krwawo po zmartwiałych twarzach, przeżegnał się niedbale i zaczął wolno, automatycznie:

— *Vater unser der Du bist...*

Przerwał nagle, bo ani jeden głos nie potworzył za nim, twarze dzieci jakby pokryły się woskiem, tężały zwolna, tylko powieki załopotwały, niby spłoszone motyle, a oczy rozblysnęły jakąś dziwną, tajemniczą mocą i patrzyły w niego z uporem, nieulekłe... Pochylił się ku nim i rozpoczął znowu:

— *Vater unser der Du bist...*

I znowu głuche mileżenie, w którym było

słychać tylko plusk deszczu i cykanie zegara. Dzieci ani się poruszyły, siedziały z zapartym tehem, patrząc w niego tak samo z niemym, upartym wyrazem protestu.

Poczerwieniął jak burak i skoczył między ławki, a tknąwszy białą ręką, obrośłą rudym włosom, pierwszego z brzegu chłopaka, krzyknął niecierpliwie:

— *Fange doch an!*

Chłopak zatrząsł się i pobladł śmiertelnie, ale wyprężając się zabelkotał:

— Nie będę pacierza mówił po niemiecku!

— *Was? was? was?* — ryczał rudy, przyginając się coraz niżej, trzasnął go z całej siły w twarz, chwycił za włosy, przywłócił pod katedrę i, okładając pięściami, zawrzeszczał roz-wścieklony:

— *Du wirst sprechen. Du sollst sprechen! Du polnisches Schwein!*

— Nie będę! Nie będę! — powtarzał chłopak gasnącym głosem i runął omdlały na podłogę. Nauczyciel wyrzucił go do sieni.

Dzieci zamarły z przerażenia i jakby skamieniały, że tylko gdzieś zatrząsły się jakieś usta pobladłe i wionęło ciche westchnienie.

Nauczyciel położył na katedrę długą trzcinę, napił się wody, odsapnął i, nie podnosząc oczu, zaczął wywoływać po kolei:

— *Marie Kluska!*

Głos miał nieco schryply i niby łagodniejszy. Chuda, wysmukła dziewczynka o przezroczyściej chorowitej twarzy, podniosła się z ławki, przeżegnała się i, trzymając w rączkach medalik, zawieszony na szyi, szła chwiejnym, ciężkim krokiem, lecz stanąwszy przed nauczycielem, zatopiła w nim jasne oczy i wyrzekła mocno i wyraźnie:

— Nie będę pacierza mówiła po niemiecku. Uderzył ją kijem w twarz, aż krzyknęła z bólu, chwytając się za rozcięty policzek; krew pociekła przez palce, nadludzkim wysiłkiem zduśiła jednak płacz i, mileżąca, sztywna, zalana krwią i łzami, powlokła się do ławki.

— Martin Pila! — zagrzmiął po chwili.

Gruby chłopak pobladł jak płótno, ale podszedł i odpowiedział:

— Po szwabsku gadać pacierza nie będę!

A kiedy dostał trzcina po głowie i plecach, to ani nie krzyknął, ani nawet się nie skrzywił, spojrzął tylko w niego z nienawiścią i mruknął wyzywająco:

— Psie, zapowietrzzone ścierwo!

Nauczyciel snadź nie dosłyszał, bo wywoływał dalej, prawie już po kolei.

I po kolei, wolno a coraz ciężej i spokojnie podchodziły do niego dzieci, po kolei podnosiły zsiniałe, męczeńskie twarze i bohaterskie jasne oczy, pełne zastygłych łez, po kolei z tragiczną rezygnacją i w modlitewnym skupieniu szły na swoją kaźń i po kolei padały te same słowa:

— Nie będę pacierza mówić po niemiecku!

Nauczyciel stawał się coraz czerwieńszy i coraz wolniej, systematyczniej i mściwiej pastwił się nad nimi. Po kolei również bił, targał za włosy, kopał i rzucał na ściany i ławki, aż ochrypl ze wściekłości, ale żadne się nie zachwiało, żadne nie jęknęło głośniejsz, ani nawet zapłakało.

Szły mężnie w ekstatycznym, świętym uniesieniu, z szeptem pacierzy na roztrzęsionych wargach, szły jakby na stos ofiarny, a każde wołało, nieulekłe:

Nie! Nie! Nie!

Aż znużony ich bohaterstwem i własną wściekłością, zachrzypiał:

— *Sitzen.*

Ledwie już dyszał ze zmęczenia i wsparty o katedrę oblatywał nienawistnymi oczyma te głowy uparte, te twarze pocięte sinemi pręgami i zalane krwią, lecz nim się zupełnie uspokoił, gdzieś z ostatniej ławki, podniosła się jakaś dziewczynka, miała osiem lat, różową buzię, niebieskie oczki, lniane warkoczyki, zaplecione nad czołem i wielką trwożną powagą w twarzyczce—podeszła do niego i, wyciągając strachliwie to jedną, to drugą rączkę, szepnęła płaczliwie:

— Ja jeszcze nie dostałam!

Grzmotnął ją trzcina przez rączkę, aż jej zwiśla bezwładnie, ale wyciągnęła drugą i już bezprzytomnym, pełnym łez i bólu głosem — powtarzała uparcie:

— Ja też Polka! Ja też nie będę po niemiecku!

Nauczyciel jakby oszalał i tak ją zaczął bić, że dziewczynka zawrzęszczała przeraźliwie, a za nią wybuchnęła cała szkoła, szloch zatrząsał murami, spazmatyczne płacze i krzyki, prośby i dziecięce lamenty, sto rąk wyciągnęło się do niego błagalnie, padały mu do nóg, całowały jego buty, ale nie zważał na to i bił zapamiętale, a dziewczynka już nieprzytomna wciąż wyciągała rączyny i wciąż jednak automatycznie wołała:

— Nie będę po niemiecku! Nie będę! Nie będę!

— — — — —

Wł. St. Reymont.

Z dziejów Kościoła Katolickiego w Polsce.

W przeszłości narodu naszego zarówno w zaraniu dziejów, jak i późniejszych czasach bardzo doniosłą rolę w życiu politycznym i społecznym odegrał kościół katolicki. Pomimo jednakże kilkakrotnie podejmowanych prób w tym kierunku nie mamy jeszcze dotychczas dzieła, obejmującego całokształt dziejów Kościoła katolickiego. I nie w tem dziwnego—bez studjów przygotowawczych, przedstawiających poszczególne fazy rozwoju tej instytucji nie można zdobyć się na syntezę. Na to jednakże, aby badania te nie szły samopas, ale rozwijały się w pewnym ściśle określonym kierunku, trzeba ująć w pewien system oraz skupić wysiłki jednostek w pewną określoną całość. Tę rolę spełniają czasopisma naukowe. Nie będę wyliczał wszystkich naszych periodycznych wydawnictw, poświęconych sprawom religijnym, zatrzymam się na razie tylko na dwóch;—jednem, oddanem całkowicie dziejom Kościoła, drugim, uwzględniającem w znacznym stopniu obok innych problemów historję kościelną w Polsce. Są to 1. *Nova Polonia Sacra*, czasopismo poświęcone badaniu historii Kościoła, prawa kanonicznego i literatury teologicznej w Polsce, wyd. X. Dr.

Jan Fijałek, prof. Uniw. Jagiell.; 2. *Kwartalnik Teologiczny Wileński*, pod redakcją X. Dr. Bolesława Wilanowskiego, prof. Uniw. Stefana Batorego.

X. Prof. Fijałek jest zaszczytnie znany w sferach naukowych ze swoich licznych prac historycznych, wydawniczych i strukcyjnych. Skala jego niepospolitej erudycji jest niezwykle rozległa. Interesują go zarówno pierwsze wieki naszej przeszłości, jak i ostatnie momenty życia naszego narodu. Badania jego obejmują bardzo szeroki zakres pod względem terytorjalnym, poczynając o kolebki naszego państwa — Gniezna, a kończąc na rozległych kresach wschodnich. Przeszłość Kościoła katolickiego oddawna interesowała X. Fijałkę i jej poświęcał liczne prace, a od lat kilku pracuje wspólnie z prof. Semkowiczem nad wydaniem pomnikowego zbioru dokumentów Katedry Wileńskiej.

Ks. Fijałek jest jednakże nietylko znakomitym uczonym, ale i doskonałym organizatorem i kierownikiem studjów nad historją kościelną. W celu skoordynowania, badań zaczął on redagować wydawane przez „Towarzystwo imienia Papieża Benedekta XV” ściśle nauko-

we czasopismo p. t. „*Polonia Sacra*“, którego w latach 1918—1921 wyszło pięć zeszytów, zawierających prace najważniejszych naszych uczonych, jak prof. Abrahama, ks. Fijałka, Sinki oraz innych. Niestety, Towarzystwo im. Papieża Benedykta XV, przestało istnieć już w roku 1922, a „*Polonia Sacra*“ nie mogła wychodzić. Redaktor jej „pozostawiony samemu sobie, nie porzucał myśli utrzymania przynajmniej samego wydawnictwa i to pod własną już odtąd firmą i własnym nakładem, kiedy wszelkie próby ożywiania Towarzystwa całkowicie zawiodły“. Dzięki jego zabiegom i poparciu Ministerstwa Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. myśl tę udało się przeistoczyć w czyn i oto mamy przed sobą pierwszy zeszyt wydawnictwa p. t.: *Nova Polonia Sacra*. Na pierwszym miejscu znajdujemy tu gruntowną i sumienną pracę ucznia ks. prof. Fijałka — ks. Tadeusza Glemmy z Chełmży, asystenta Seminarjum Historji Kościoła w Polsce, w Uniw. Jagiell., p. t. *Historjografja diecezji chełmińskiej aż po rok 1821*. Praca ta przynosi zaszczyt i dla mistrza i dla ucznia. Sumienność, dokładność i drobiazgowość, jakie ujawniają się w pracach ks. Fijałka znajdujemy i u ks. Glemmy. Zaznaczyć przytem należy, że praca ta obejmująca odległy stonkowo teren od nas diecezji Chełmińskiej, nie jest pozbawiona wartości dla badaczy zajmujących się przeszłością Litwy. Autor przedstawiając na szerokim podłożu historjografję diecezji Chełmińskiej, omówił szczegółowo, a bezstronnie prace historyków i wydawców niemieckich, którzy opisują dzieje starożytne Prusaków, związanych ściśle z Litwinami. Rozprawa ks. Glemmy doskonale zaznajamia ze źródłami i dawniejszą historjografją pruską, a więc może przysłużyć się znakomicie, zwłaszcza początkującym badaczom, którzy chcą poznać najważniejsze źródła do dziejów Litwy starożytnej.

Na drugim miejscu tego wydawnictwa znajdujemy cenną rozprawę prof. Władysława Abrahama p. t. *Studja wstępne o konkordacie Stolicy Apostolskiej z Rzeczpospolitą Polską*. Poza artykułami znajduje się bardzo starannie opracowany dział przez samego redaktora p. t. Recenzje i sprawozdania, gdzie spotykamy omówione najważniejsze prace z zakresu historji Kościoła oraz dziedzin pokrewnych, a następnie nekrologi księży biskupów Bilczewskiego i Pelczara. — Oto w najkrótszych zarysach treść tego cennego czasopisma.

Również niezmiernie wartościowy materiał znajdujemy w drugim czasopiśmie p. t. *Kwartalnik Teologiczny Wileński* pod redakcją ks. dr. Bolesława Wilanowskiego. Przy omawianiu tego czasopisma opuścimy artykuły o treści czysto teologicznej i zatrzymamy się jedynie nad rozprawami ściśle historycznymi. Na pierwszym miejscu spotykamy pięknie napisane wspomnienie o ks. arcybiskupie Janie Cieplaku, pióra ks. dr. Bronisława Żongołłowicza. Artykuł ten przedstawia życie ks. Cieplaka na tle dziejów Akademji Duchownej w Petersburgu. W dziale „Rozpraw“ na pierwszym miejscu została umieszczona rozprawa ks. B. Wilanowskiego: *Kiedy Apologja Aristidesa została napisana?* Jest to rzecz z zakresu lite-

ratury starochrześcijańskiej, zainteresuje jednakże ona i historyka zawodowego ze względu na poruszenie ciekawego a doniosłego problemu stosunku państwa Rzymskiego w II wieku do chrześcijan. Czysto dogmatycznym jest studjum ks. dr. Aleksandra Żychlińskiego o pojęciu nadnatyry.

Ciekawe zagadnienia porusza prof. T. E. Modelski w pracy p. t. *Z dziejów rebaptызacji w Polsce*. Kwestja ta posiadała u nas z powodu znacznej ilości schyzmatyków w obrębie państwa polskiego niezmiernie doniosłe znaczenie. Autor we wstępie omawia stanowisko Stolicy Apostolskiej w tej sprawie do wieku XII i dochodzi do wniosku, że nauka Kościoła katolickiego stała zawsze na stanowisku chrztu jednego i jedynego. Kościół rebaptызacji nie uznawał i przeciw niej zawsze występował. Inaczej było jednak w życiu codziennym, gdzie katolicy, w zetknięciu bezpośrednim z heretykami i schyzmatykami żądali od nich chrztu, gdy ci przechodzili na wiarę katolicką. Nawet duchowieństwo uznawało taką rebaptызację, w której widziało niejako tylko dopełnienie Chrztu św., a nie chrzest powtórny. W Polsce bardzo gorąco zajmowano się sprawą rebaptызacji, ze względu na bliskie sąsiedztwo Polaków z Rusinami, wyznającymi obrządek grecki. Po dokładnem rozpatrzeniu poszczególnych wypadków, autor dochodzi do wniosku, że rebaptызacja w Polsce była zjawiskiem powszednim i powszechnem. Rozprawa prof. Modelskiego podaje wiele ciekawego materiału. Może zbyt ostrożnym i delikatnym jest autor w stosunku do Narbutta, według mego zdania ów traktat Piotra d'Ailly, to wprost fabrykat Narbutta, jak wiele innych rzeczy.

Z dziedziny prawa kanonicznego ks. dr. Bolesław Wilanowski opracował *Działalność prawodawczą papieża Benedykta XV*, która była dalszym ciągiem, a zarazem ukoronowaniem działalności dwóch jego wielkich poprzedników na Stolicy Piotrowej — Leona XIII i Piusa X.

W II dziale: Materiały, referaty i informacje obok ciekawej polemiki ks. Swirskiego i prof. W. Lutosławskiego o palingenezie, wydrukowano bardzo ciekawe studjum ks. dr. Czesława Falkowskiego *O jubileuszu na Litwie i Rusi w r. 1826*. Jest to praca napisana na podstawie bardzo bogatego materiału archiwalnego, ujęta systematycznie, jasno i przejrzysto.

Józef Zdanowicz zdaje sprawę z poszukiwań archeologicznych w Palestynie.

Wreszcie zaznaczyć należy, że na specjalną uwagę zasługują końcowe działy czasopisma — kronika, przegląd piśmiennictwa i najnowsza bibliografja. Jest to rzetelna zasługa redaktora, doskonale postawienie tych działów, które tak świetnie odzwierciedlają ruch umysłowy i religijny u nas i zagranicą.

Kończąc sprawozdanie z obydwu tych niezmiernie cennych wydawnictw, przytoczę słowa ks. Fijałka — Dalsze losy wydawnictw zależą wyłącznie od zrozumienia ich potrzeby przez tę koła społeczności chrześcijańskiej, które są nazwane i powinny być „solą ziemi i światłością świata“. Do nich się teraz zwracają Redakcje z wiarą, iż ze swej strony wspomogą i podziela-

ich trudy i cel naukowy, przystępując do stałej prenumeraty *) tembardziej, że obydwa wydawnictwa obiecują cały szereg ciekawych artykułów w następnych tomach. Ks. Fijałek zapo-

*) Prenumeratę na wydawnictwo ks. Fijałka — Nova Polonia Sacra — przyjmuje Księgarnia Krakowska, Kraków, ul. św. Tomasza 35. Adres Redakcji i Administracji Kwartalnika Teologicznego — Wilno, Uniwersytet.

wiada, że tom I jego wydawnictwa między innymi przyniesie ciekawy zwłaszcza dla nas artykuł ks. Fijałka i Wołyniaka: Zniesione kościoły i klasztory rzymsko-katolickie przez rząd rosyjski w wieku XIX w diecezji Łuckiej, Żytomierskiej i Kamienieckiej. A i IV tom Kwartalnika Teologicznego napewno dostarczy dużo cennego i interesującego materiału.

K. Chodynicki.

O miłości Ojczyzny i o Narodowości.

Kilka złotych myśli Karola Libelta.

Miłość ojczyzny uwarunkowana swobodami, jakie przynoszą ustawy polityczne. Kocham ziemię moją i kocham lud mój, ale kocham oraz ustawy, bo w nich objawion jest duch narodu mego, duch mądrości, duch swobody, duch pocieszyciel w krzywdach wszelkiego rodzaju. Pod jego tarczą usypiam spokojnie i nie trwożą mnie namiętności ludzkie, trzymane przez rząd czuwający na wodzy. Kocham te prawa i instytucje, bo w nich jest cząstka woli mojej, one chcą dobra mojego i nieskończone korzyści mi przynoszą przez wychowanie publiczne, przez ustalone bezpieczeństwo i porządek, przez wymierzanie sprawiedliwości, przez gospodarstwo rządne narodowe, podniesienie nauk, sztuk, przemysłu i handlu, a z nimi dobrego bytu, przez utrzymane stosunki z innymi narodami, przez bezpieczeństwo nazewnątrz i t. p. Wszystkie te swobody dają wyobrażenie osobistej i politycznej wolności człowieka, a jako posiadającego i wykonywającego tę wolność, robią go *obywatelem*. Miłość ojczyzny przedstawia się tu zatem jako miłość wolności prawami objawionej i objawiającej się, jako miłość najwyższego dobra dla człowieka społecznego, z którego wszystkie inne dobra płyną i prawdziwej dopiero nabierają wartości. Są to rzetelne korzyści i pożytki, które przywiązują potężnie krajowca do kraju ludu i podlegają w nim miłość ojczyzny.

Gdzie panuje trwoga, niemasz miłości... Oświata podnosi godność człowieka, a kto ją uczuł w sobie, nie ugnie karku pod jarzmo, ani nie nadstawi grzbietu, z któregoby satrapa jaki konia dosiadał. Oświata rozwija opinię publiczną, a ta nabiera w końcu takiej siły, że się o tę moralną opokę wszelkie nadużycia władzy i zamachy na wolność rozbijają. Oświata nareszcie rozpościera swobody i prawa w narodzie i dlatego rząd wszelki na oświacie narodu oparty, zdolen już wywołać w narodzie miłość mieszkańców dla siebie i podnieść tym żywiołom miłość ojczyzny. — Ustawa, czyli forma rządu przeważnie wpływa na podniesienie miłości ojczyzny.

Obyczaje codziennie tworzą i wyrabiają się między ludźmi, napływa ich niemało z obczyzny, wszelako te tylko są narodo-

we, które są właściwością narodu. Właściwości te wypływają z przyrodzonych własności krajowców, a będąc pierwszym objawem narodowego ducha, — są tem samym pierwszym początkowym rozwojem narodowego życia, pierwszą jutrzenką oświaty, praw, religji, porankiem całego duchowego żywota.

Ucisk narodowości, jak ucisk wszystkiego, co jest w sobie boskie i święte, podnosi i roznieca narodowość.

Domagaj się wychowania narodowego, instytucji narodowych, to będzie doręcznością; a gdy tego dostąpić nie możesz, żyj przeszłością narodową, karm ducha pamiątkami narodowymi, szerz przykładem, nauką i pismem cnoty narodowe i tak ducha narodowego wskrzeszaj.

Narodowość tak przerosła z uczuciem naszym, że niema narodu bez narodowości. I gdyby było podobna wytracić narodowość, naród by zarazem wytracić trzeba.

Narodowość jest duchowem piętnem, charakterem niezmazanym, którym Bóg lud nacechował, aby go od innych ludów odróżnił. Kto się więc targa na narodowość, bluźni Bogu i podnosi rokosz przeciw wyrokowi jego. Z tego to tytułu obyczaje każdego narodu są tak święte i szanowane i tylko niedowiarek, tylko człowiek bez Boga i bez miłości ojczyzny z nich się natrzasać może.

Ty, co sztydzisz z obyczajów narodowych, nie wiesz może o tem, że sztydzisz z ducha narodowego, który wylał się z łona samego Ojca przedwiecznego! Nie wiesz, że zadrasnęłś naród twój w najdotkliwszej jego stronie; bo on kocha obyczaje swoje i w nich siebie kocha; — nie wiesz wreszcie, że tą ohydą, rzucaną na świętość narodową, ohydziłś samego siebie, — bo czem jesteś bez tej narodowości? — usechła gałązka i odpadła od pnia dębu ojczystego, nie przydatną ani swoim, ani obcym, dobrą chyba na ogień ku spaleni.

Po obyczajach, jak po żagwiach, zatliwia się ogień miłości ojczyzny i nadaje ciepło ożywe miłości ziemi, miłości ludu i miłości ustaw krajowych. Święty to ogień, który ty, młodzi narodowa, pielęgnuj w piersi twojej i strzeż go troskliwie, jak strzeżony bywa ogień wieczny w świątyniach!

O dwóch najpilniejszych potrzebach naukowych w kraju.

W obecnym czasie kanikuly letniej, gdy znaczna część inteligencji miejskiej zespala się z wsią, dworem polskim, łatwiejszem jest porozumienie się takowych w potrzebach palących naszej kultury — w sprawach zapoznawanych już od dłuższego czasu archeologii przedhistorycznej oraz zabytków sztuki z okresu chociażby blisko półtorawiegowego. Najważniejszą potrzebą jest tu oczywiście rozejrzenie się w rzeczach prahistorji oraz sztuki nowoczesnej tudzież racjonalne zinwentaryzowanie odnośnych przedmiotów rozrzuconych zarówno po wsiach, jak i po miastach naszych. Przecież dotychczas nie posiadamy zupełnie naukowo opracowanych planów miejscowości godnych archeologicznego zbadania, jak nie posiadamy dotychczas wyczerpującego inwentarza sztuki polskiej, chociażby z okresu dawnego uniwersytetu Wileńskiego. Zarówno prace dawnych starożytników polskich, jak też bałamutne „isledowanija“ rosyjskich urzędowych archeologów w odniesieniu do prahistorji, jak też cenne przyczynki z dziedziny historji sztuki wileńskiej, ogłoszone przez Rastawieckiego, Kraszewskiego, hr. Mycielskiego, dr. Bielińskiego, K. hr. Tyszkiewicza, Alfr. Römera i innych dalekie są jeszcze do ideału syntetycznego zobrazowania wyżej potrąconych przedmiotów kultury. Całe powiaty wschodnich kresów polskich nie tylko nie posiadają swych monografij pod względem archeologicznym, ale i mnóstwo prywatnych zbiorów sztuki w miastach i po licznych dworach naszych nie są bodaj przez nikogo badane. Przerwaną została głęboka, naukowo intensywna praca ś. p. W. Szukiewicza. Któż po wyjeździe prof. K. Tatarkiewicza bada dzieje szkoły malarstwa, architektury i innych gałęzi sztuki wileńskiej, kto u nas wnikał w dziedzinę niedawnych jeszcze prac K. Rafałowicza, A. Żameta, W. Römera i t. d.,

kto spisuje u nas grafików wileńskich (wiemy tylko o pracach odnośnych ś. p. L. Zasztowta)? Słowem inteligencja nasza na wsi winna dopomódz uczonym dobrej woli w odszukaniu na wsi dawnych grodzisk, cmentarzysk przedhistorycznych, pobojuwisk, przedmiotów tam znalezionych, jak również we wskazywaniu i ewentualnem spisywaniu zabytków sztuki po domach i dworach polskich. Koniecznem jest naprzykład urządzenie w najbliższym czasie większej wystawy retrospektywnej sztuki wileńskiej za przykładem takiej że próbnej wystawy z roku 1897. Ile że co do wystawy archeologicznej przedhistorycznej sprawa ta wymaga dłuższych kilkoletnich przygotowań. Weźmy, naprzykład, w kwestji starożytnictwa pierwotnego, sprawę niezbadanej dotąd góry Bekieszowej, co dawniej jeszcze służyła za miejsce grzebalne dla autochtonów naszego grodu (może nie byli nimi litwini), weźmy znów okolice Wilna, czy badał kto góry nad Wilją pod Trynopolem, gdzie się znajdowały ongi i horodyszcze prastare i cmentarzysko szkieletowe? A dalej w głąb powiatu, czy komu znana jest parafja Niemenczyńska pod względem archeologicznym: pilekalnia między wsią Ragana a miasteczkiem (mogło być tam i cmentarzysko, bo przed trzydziestu laty napotykałem tam szczątki urn i kości niedopalonych). Czy są znane w parafji Sużańskiej pilekalnie zwane „Kupiecia—Kalis“ oraz góra kalwińska (ta ostatnia koło dworu sużańskiego). Muszą być nieznanne badaczom w powyższych parafjach dość liczne ślady grobów dawnych, nawet z epoki bronzowej, w znacznej już części nadniszczonych.

Na to wszystko uwagę baczniejszą winien chyba zwrócić ruchliwy Urząd Wileński do spraw ochrony zabytków na Kresach.

L. Uziębło.

A może i szkoda...

W dworku ponad Wilją, od roku zamieszkało dwóch emerytów. Jak domyślić się łatwo obaj byli w wieku statecznym, dodać zaś należy, że obaj byli kawalerami.

Pan Piotr wysoki, zaschły, przypominał mumję jednego z władców starożytnego Egiptu, miał łysą długą czaszkę, koloru sioniowej kości, wyblakłe siwe oczy i wąskie zaciśnięte wargi. Szyję niepomiernie długą i tak chudą, że nie tylko uwydatniała się wystająca na niej grdyka, ale i wszystkie żyły.

Pan Paweł, wierutne przeciwstawienie swego współlokatora. Niski, okrągły, z wystającym brzuszkiem, o wesolych piwnych oczach, szczeniastej krótkiej czuprynie i czerwonej owalnej twarzy, miał jedno zmartwienie, że za

duzo tyje, p. Piotr zaś uskarżał się na stałe wysychanie całej swej niebotycznej postaci.

Przed laty pracowali wspólnie w Izbie Skarbowej i nabrali dla siebie wzajemnego szacunku, za nieposzlakowaną uczciwość i wielką umiejętność prowadzenia ksiąg urzędowych.

Zażyłość ich powstała na tle wspólnej, antypatji do kobiet. Wzrastało to uczucie przez szereg długich lat tak w sercu chudego pana Piotra, jak i w łagodnej skądinąd duszy, okrągłego pana Pawła, aż w końcu buchnęło tak silnym ogniem, że złączyło ich losy.

Wynajęli wspólnie mały dwork i zaprzyjęli sobie, że: „Niemasz niewiast w naszej chacie“. Posługę objął dozorca domu, któremu zapowiedziano, by się żadną córką, lub żoną

i nijaką inną kobietą nie wyręczał; on sam osobiście rano i wieczór miał dmuchać w samowar dla obu lokatorów, robić porządki i zabierać brudną bieliznę. Komu ją dawał do prania: mężowi czy niewiaście, to już było rzeczą obojętną. Dozorca był starszym człowiekiem, miał ochotę wyręczać się swoją starą, ale jak nie, to nie, co mu tam, aby ino zapłaceno rzetelnie. Dziecków w domu nie było, a i mieszkanie jego tak było położone, że ani go od wejścia, ani z okien dworku nie widziano.

W całym domku były trzy duże pokoje. Środkowy z werandą i kominkiem, służył obu panom za salon i jadalnię, sypialnia p. Piotra znajdowała się w pokoju od strony lewej. Prawy pokój od wejścia, zajmował p. Paweł. Urządzenie obu sypialń nosiło wybitną cechę indywidualności właścicieli. Surową prostotą odznaczał się pokój p. Piotra. — Nie, po za koniecznymi sprzętami. Łóżko, szafka nocna, biurko i fotel obity skórą, oraz parę zwykłych zydeków. Nad umywalką w kącie, w ciemnych drewnianych ramach zwierciadło. Nad łóżkiem krucyfiks. — W drugim rogu pokoju oszklona szafka z książkami. Żadnego obrazka, żadnej ilustracji. Na oknie w najpiękniejszy poranek majowy nie dojrzałeś żadnej zieleniny.

Pokój p. Pawła różnił się mocno. Łóżko wygodne, na ścianie dywan o jasnych barwnych kwiatach, tu i owdzie jakieś obrazki, krajobrazy, sceny z polowania. Wygodna sofa, także fotele, przy biurku, dywan na podłodze, a na oknie doniczki z kwiatami.

Różnili się też obaj panowie mocno w charakterach i poglądach na świat i jego urządzenie. Sprzecali się ze sobą, nieraz tak ostro, jak Dziennik Wileński ze Słowem i przy dyskusjach politycznych, lub społecznych i przy sześćdziesiąt sześć jedynej grze hazardowej, jaką uprawiali, i przy szachach, w których zawsze i stanowczo p. Paweł zaszybko zdobywał wieże i dawał mat królowej p. Piotra.

Zgodni byli tylko wtedy, gdy mowa była o największym utrapieniu ludzkim, którym wedle zdania obu była jest — i będzie — kobieta.

— Przecie gdyby nie Ewa nie byłoby grzechu na świecie, wzdychał nieraz p. Piotr.

— Co tam pan z tą Ewą zaczynasz, rzucił p. Paweł, tyle lat od tej pory już minęło. I tyle jeszcze tysięcy gorszych od Ewy widziano...

— Ho, ho, co tu i gadać, ja sam już takie w życiu widziałem, za powiadam wasanu włosy mi dębem na głowie stają ile razy o nich pomyślę.

— No to już cud oczywisty, rzucił jowialny towarzysz, żeby to dębem stawało, czego przez mikroskop nie dojrzeć.

— E co tam pan zaraz za słowa łapiesz. Żadna dyskusja w takich razach jest niedopuszczalna. — Zagrajmy lepiej w karty. I dalej rozdawać.

— A to co znowu, mruczy pan Paweł już ta szelma pikowa, na mnie się zawzięła. Cele życie nie cierpiałem brunetek. Czarne to jak smoła wewnątrz i zewnątrz.

— Gadaj zdrów. Blondynki niby lepsze. poczekaj, poczekaj, tak ci zaleją gorącego sadła za kołnierz, że będziesz się wił jak rak w ukropie.

Tak, tak, panoczku, możemy sobie powinszować, żeśmy obaj uchwali się od tego nie-szczęścia, w jakim by ono nie było kolorze. Czarnym, rudym, czy tam popielatym.

— Bo to panie i kobiety i dzieci, toż to wieczny kłopot, wieczna męka... A wydatki... Uf.

Tak zgodnie przytakiwali sobie przyjaciele do 10-tej wieczór, o tej bowiem godzinie rozchodzili się każdy do siebie, by z nastaniem dnia budzić się z nową animozją do nieszczę-snych cór Ewy.

Czy uważasz pan, co te kobiety teraz nie wyrabiają. Jakie to stroje, jaka wysoka nie-przyzwoitość, mówił pan Piotr, któregoś dnia pokazując spacerującą po ogrodzie Bernardyńskim elegancką kobietę, w wyciętej sukni, i z krótkimi rękawkami.

— Hm, hm, mruknął zagadnięty, ale też naprawdę śliczna, jakie ręce, co za nóżka, a oczy...

— A wasana czy co nie zamroczyło, ofuknął się pierwszy, może się w konkury puścisz? a pfuj... ot charakter. Możebyś i rodzinę rad założył.

— O co nie, to nie, bronił się biedny pan Paweł, goniąc wzrokiem za nieznaną, nie mnie na to wziąć, nie głupim. Popatrzeć to inna rzecz. Żona, dzieci, uciekłym od nich na drugi dzień, ale to szelmutka ładna, niema co i mówić.

Nieznaną niedomyślając się, że tu o niej mowa, usiadła na sąsiedniej ławce. Obaj przyjaciele mieli ją przed sobą.

— Bezwstydna, wprost bezwstydna, mróczał p. Piotr. Dawniej tak się kobiety stroiły na bale, a teraz już po ulicach widzimy je z ramionami obnażonemi.

— Pan Paweł milczał, pozerając oczyma śliczną postać. W tej chwili zjawiała się druga również piękna pani i usiadła przy tamtej. Dwoje ślicznych jak Tycjanowskie aniołki dzieci przybiegło do siedzących kobiet.

— Śliczny obraz, szepnął p. Paweł, towarzysz pociągnął go.

— Chodźmy już, od rzeki idzie wilgotny wiew.

Wieczorem tego dnia obaj byli jacyś zadumani, p. Paweł pykał papierosika, wzdychając, p. Piotr z założonemi rękami w tył, chodził po pokoju, nucąc trochę fałszywym głosem:

„Z lasku idą trzy boginie“.

— Ależ nie trzy, tylko dwie, naprawdę dwie, zawołał p. Paweł i rozśmiał się w głos.

Nadeszła jesień, zimna i dżdżysta, z koniecznością trzeba było siedzieć w domu, przy kominku. Dłuższe były rozmowy, zawziętsze sprzeczki — Po jednej takiej dyspacie, na temat

jaka forma rządu byłaby wskazaną dla naszego kraju, monarchiczna, czy demokratyczna, obaj przyjaciele rozeszli się.

P. Piotr już się położył i owinał w ciepłą kołdrę, pan Paweł odbywał wieczorne ćwiczenia gimnastyczne. Ten brzusek coraz bardziej zaokrąglający się irytował go. Nie żeby dojść do chudości p. Piotra, tego nie życzył sobie, ale żeby tak mieć linję. Męczył się więc codziennie podnosząc ciężarki i wylamując się w niesłychany sposób, a tej tuszy ani się pozbyć. Już i na karku ma dwie fałdy, chociaż przestał jadać wieczerzy.

Z trzeciego pokoju, dochodzi lekkie pochrapywanie sąsiada. Za oknami wieje wichur i deszcz dzwoni o szyby.

— W taki deszcz być na dworze... Wtem do uszu p. Pawła dochodzi wyraźnie ciche żałośnie kwilenie. — Co? kto? skąd?

Najwyraźniej z werandy, od stołowego pokoju.

Wstrzymał oddech, — słucha: — kwili z pewnością.

— Panie Pawle, woła zaspany głos pana Piotra, panie Pawle, czy słyszysz? co to jest na naszej werandzie!..

— Słyszę, odpowiada przerażony, coś kwili. Najwyraźniej... .

I impulsywnym rzutem znaleźli się naraz obaj ze świecami w rękę w jadalni, spojrzeli na siebie i zapominając o tamtem, wybuchnęli śmiechem.

— Ależ Piotrowin, najautentyczniejszy Piotrowin! śmiał się pan Paweł, patrząc na lysą czaszkę, grdykę i piszczele p. Piotra.

— Jak melon okrągłutki! jak melon, śmiał się tupiąc boscami piętami w pantoflach, tamten.

A tu znowu jęk.

— Dziecko chyba! zawołał pan Paweł, ani chybi podrzutek!..

A mnie co do niego! znać go nie chcę!

wybuchnął pan Piotr, niech go bierze ten kto podrzucił.

— O i ja nie tknę! powtórzył pan Paweł i obaj wrócili do siebie i w jednej chwili zdmuchnęli świecę i otulili się w ciepłe, puszyste kołdry.

Cisza zaległa. Naraz wiatr zawył z całej mocy, skrzypnęły gałęzie drzew w ogródku i głośne rozpaczliwe kwilenie rozległo się na werandzie.

— Nie, to podłość! wołał wyskakując poraz drugi z łóżka, p. Piotr, dać tak zamarznąć dziecku.

— Tego zrobić nie można! trzeba je ratować. Ale okryj że pan u licha swe gnaty, toż paraliżu dostać można w taki wichur, — wołał p. Paweł.

— A i sam się osłoń również, burknął otulając się szlafrokiem p. Piotr. Tłuszcz zastęga na zimnie. Ani chybi dziecko kwili... .

Okryci, otworzyli drzwi wiodące na werandę, a w tejże chwili do pokoju wpadł — duży kot. Jednym susem dopadł do kominka i usiadłszy przy nim syknął żałośnie.

— Kot! kot! co za szczęście, że to kot! zawołał okrągły p. Paweł, kiciu, kiciu dobry, pocziwy!

A p. Piotr już nalewał przybyszowi mleka do miseczki.

Następnego wieczoru we trzech zasiedli przy kominie, kot siedział między obu przyjaciółmi i wdzięczny za przytułek, ocierał się to o jednego to o drugiego.

— Co by to jednak było, rzekł z uśmiechem pan Piotr, gdyby tak zamiast, tego oto burka, było naprawdę dziecko?..

— A cóż odparł p. Paweł, musielibyśmy je zabrać i chować... byłoby z tem trochę więcej kłopotu co prawda.

— A może i szkoda, że to nie dziecko... szepnęła podobizna starej mumji.

J. Bogusz.

Z nadmorskich podań ludowych.

LEGENDA O ŚWIĘTYM WOJCIECHU.

Na wybrzeżu między Sopotem, a Helem wyrastają z płaszczyny, z pośród niskich łąk i torfowisk, wyżyny zwane „kępami“. Są to kępy: radłowska, oksywka, pucka i swarzewska. W czasach zamierzchłych były te wyżyny zapewne istotnie wyspami, a w każdym razie otaczały je nieprzebyte mokradła i trzęsawiska. Bopiero z biegiem wieków, przybrało wybrzeże obecny swój wygląd za sprawą powolnego, lecz stałego ustępowania Bałtyku. Ten proces przeobrażania się wybrzeża osnuła wyobraźnia ludowa następującą legendę:

Kiedy święty Wojciech przybył głosić

Ewangelję w krainie nadmorskiej, zasłyszał także o nim pogański władca, Oksywia. Książę nie był szczególnie przywiązany do swych pogańskich bogów i uznał, że nowa wiara, wyznawana pono i przez Polan, mogłaby być dobra. Ale na wieść o dziwnych wypadkach, które towarzyszyły nauce świętobliwego męża, postanowił przekonać się o mocy jego Boga, a zarazem uzyskać namacalny pożytek ze zmiany wiary. Przyrzekł tedy świętemu Wojciechowi, że wraz z wszystkimi poddanymi przyjmie chrześcijaństwo, jeśli biskup złączy cudownie wyspę oksywską z lądem.

Skoro św. Wojciech rzeczywiście wyjednał mu ten cud, dotrzymał książę słowa, nawrócił

się i przyjął chrzest wraz z całym ludem. Odtąd już mieszkańcy kępy oksywskiej mogą krążyć swobodnie po całym wybrzeżu.

PODANIE O STARYM KOŚCIELE W HELU.

Przed wielu, wielu laty rozbił się na wielkim morzu, niedaleko Helu, duży okręt. Były tam wśród podróżnych trzy bogate panny, które w największej trwodze pewne już były zguby. Ale rybacy z Helu dostrzegli nieszczęsny wypadek, pośpieszyli z pomocą rozbitek i zdołali także wyratować wszystkie trzy siostry. Wówczas one, z wdzięczności ku Bogu za swe ocalenie, a także dla wygody i pociechy duchownej pocziwych rybaków, ufundowały im kościół w Starym Helu. Była to pierwsza świątynia katolicka na półwyspie.

Z biegiem wieków opustoszała pierwotna osada — Stary Hel — ludność przeniosła się w poblizę dogodniejszej przystani, zakładając tam Nowy Hel i wznosząc inny kościół. W XVI wieku przeszli Halanie na protestantyzm, więc i nowy kościół stał się protestanckim domem modlitwy. Pierwotny kościółek pozostał w zasadzie własnością katolików, lecz ponieważ miejscowi katolicy byli nie liczni i ubodzy, nie mogli go utrzymywać i w XVIII wieku opisy wizytacji biskupich wspominają, że był w ruinie.

HISTORIA O GADAJĄCEM BYDEŁKU I O ZAKOPANYM SKARBIE.

W jednej ze wsi kępy radłowskiej był pasterzem bydła młody jakiś, pocziwy chłopak. Pewnej nocy, — a była to noc przed Bożem Narodzeniem — leżał pastuszek w oborze, nie mogąc jakoś zasnąć. Wtem wydało mu się, że słyhać jakieś przytłumione szepty.

— Złodzieje — pomyślał.

Podniósłszy się z obawą, wziął latarnię, obszedł uważnie cały budynek wewnątrz i na zewnątrz: nie było nikogo. Zaledwie jednak wrócił na swe legowisko, dosłyszał znowu głosy, tym razem nawet wyraźniejsze. Nie ruszając się z miejsca, począł nadśluchować.

Ze wszystkich stron obory dolatywały teraz głosy ludzkie, ale, — o dziw nad dziwy! — nie było tam żadnych ludzi, jeno bydełko rozmawiało między sobą.

Słyszał wprawdzie niegdyś chłopak, że w noc wigilijną dana jest zwierzętom zdolność mowy, nie bardzo jednak wierzył bajkom starych ludzi. Teraz sam oto przekonał się, że mieli słuszną i leżąc bez ruchu, przysłuchiwał się ciekawie, jak bydełko obgaduje różne ciekawe sprawy. Wreszcie stara jakaś i niezbyt na ludzi łaskawa krowa, taką obwieściła nowinę.

— Myślą niby ludzie, że mogą nam rozkazywać, ponieważ są bardzo mądrzy, tymczasem często nie wiedzą o najprostszych rzeczach. Ile to oni namęczą się nad zdobyciem pieniędzy! Niejeden gotów zabić bliźniego dla poży-

skania bogactwa. A wcale się nie domyślają, jakie skarby są zakopane w ziemi, niedalej, jak pod tym stosem kamieni, nad morzem. Wprawdzie głazy strzegą zazdrośnie skarbu, ale w noc noworoczną muszą zawsze podążyć do morza i napić się wody. Gdyby kto trafił na tę chwilę, mógłby zabrać cały skarb.

Chłopak o mało nie krzyknął na tę wieść. Przez cały tydzień żył, jak w gorączce, a gdy nadeszła wilja Nowego Roku, wybiegł w nocy nad morze. Byle się nie spóźnić, prędzej! prędzej!

Minął budynki folwarcze i szeroki szmat pól, dotarł do wielkiego buku, który stał nad urwiskiem na granicy pól i zasłanego piaskiem wybrzeża. Tu właśnie znajdował się...

Spojrzał i oczom nie śmie wierzyć!

Kamienie i złomy skalne zniknęły z powierzchni i tylko czarne kolisko znaczy ślady kopca na zaśnieżonym skraju zbocza.

Przypadł chłopak do ziemi, rozgrzebuje rękami i łopatą przymarzłą nieco powierzchnię. I wnet światło księżycy lśni już na bryłach złota i srebra, mieni się barwnie w tysiącach drogiej kamieni.

Skarby zaiste nie przebrane.

Pastuszek pracuje gorączkowo, radby równocześnie rozgarniać ziemię i napychać kieszenie klejnotami. Wtem rozlega się od strony morza huk i łoskot tak przejmujący, że chłopak porywa się z klęczek.

To głazy — wielkie, jak koła młyńskie — toczą się ku niemu, pędzą pod górę po wybrzeżu, gnane jakąś niepojętą, tajemniczą siłą.

Zapomina chłopiec o skarbie, radby uciec, ale strach przygwałdza go do ziemi.

Olbrzymie głazy posuwają się z błyskawiczną szybkością, są tuż blisko, już mają go przywalić...

Nagle myśl zbawcza błysła w mózgu przerażonego pastuszka. Wyciąga z kieszeni kawałek święconej kredy i kreśli nią znak krzyża na najbliższej bryle kamiennej.

Natychmiast głaz stanął jak wryty, a w ślad za nim zatrzymały się wszystkie inne kamienie i pozostały już odtąd rozsypane na wybrzeżu. Pastuszek zaś, ochłonawszy z przestrawu, mógł unieść swobodnie znalezione skarby.

Smutki.

Cichych jesiennych pni martwota...

Zgaszony czar ostatnich róz —

Zerwana marzeń przedza złota

już...

I ciebie niema. A tęsknota

Niezapomnianych nigdy snów

Szarym mi smutkiem duszę mota

znów...

MARTA RESZCZYŃSKA.